MŁODY LAS



GRUDZIEŃ 1938 8/9

ŚWIĘTO DZIECI

Śniło mi się tej nocy, mateczko,
Że mi dał doznać Pan Jezus łaski:
Gwiazdkę ujrzałem siejącą blaski
Nad betlejemską szopeczką.
Od blasków w oczach stanęły mi łezki,
Lecz je otarli zaraz anieli,
Co mnie za ręce z obu stron wzięli,
Po drodze wiodąc niebieskiej.
Gdy się w obłoczkach skończyła droga,
Wciąż przetykana gwiazdeczek złotem,
Wnet się wstrzymałem z aniołów lotem,
By stanąć w szopce u proga.
Patrzę: Jezusek malutki leży
Pośród stajenki w żłóbku na sianie.
Owiec kożuszki, rogi baranie,
Wokól podarki pasterzy.
Wtem do mnie Jezus zwrócił rączęta:
»Wszystkie — powiada — pójdźcie tu
[dziatki,
Do mnie się tulcie i do mej Matki,
Bo wasze to dzisiaj są święta«.

Kal . . . i



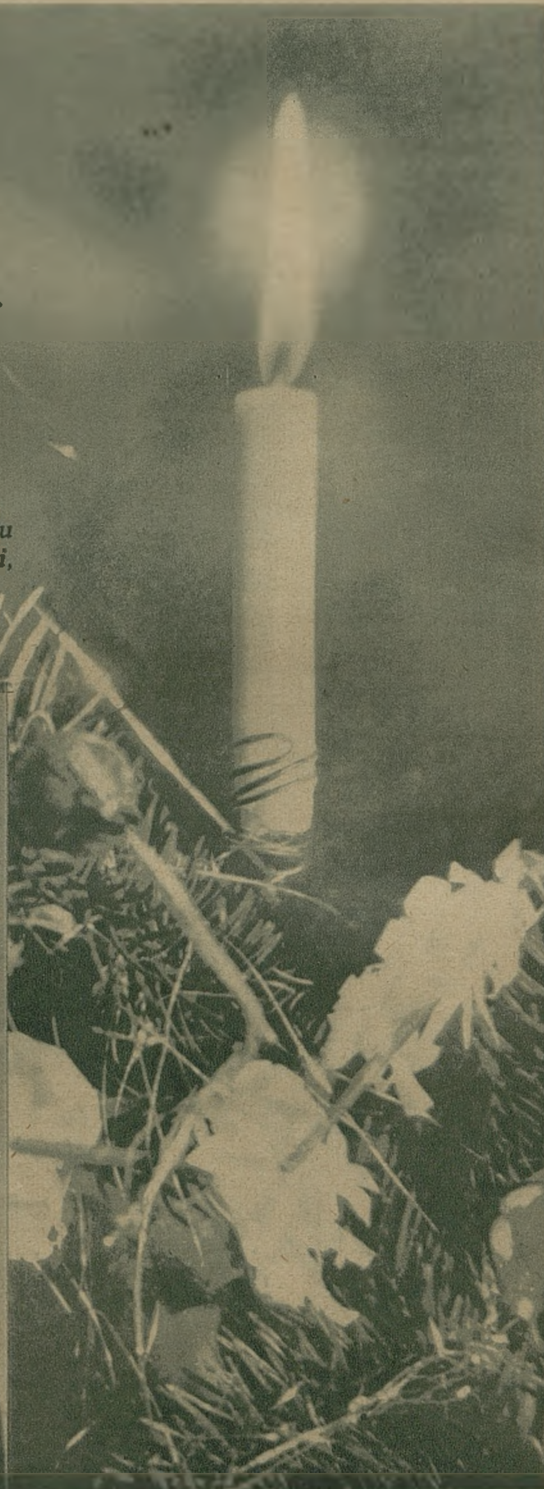


Photo-Plat

WŁOSY ANIELSKIE.

Nap. Zygmunt Nowakowski

Felek Pieczara odniósł jakiejś pani z Rynku na Dębniki drzewko nawet nie duże i nie ciężkie wcale i dostał za to pięćdziesiąt groszy. Myślał, że ma wydać resztę, albo że się ta pani pomyliła, bo niby tyle pieniędzy nikt nie płaci; stał więc chwilę zdumiony, ale usłyszał, że dziś wilia. Więc te pięćdziesiąt groszy to na Gwiazdkę...

— Klawo! — pomyślał sobie a głośno rzekł: »Całuję rączki« i pędem wrócił pod Mickiewicza, gdzie tuż koło straganów ze świecidłami spotkał Józka Puzona, który przestępując z nogi na nogę i chuchając w ręce, darł się na całe gardło: »Para pinć! Para pinć!« Zirytowało to Felka, bo któżby kupował aż parę gasideł? Jedno — to jeszcze ale parę!?

— Nos masz jak gasidło i wołasz: »Para pinć!« Sprzedasz jedno za dwa grosze, to kupię!

— Na co ci?

— Moja rzecz! Gotówką płacę! Co cię obchodzi na co?

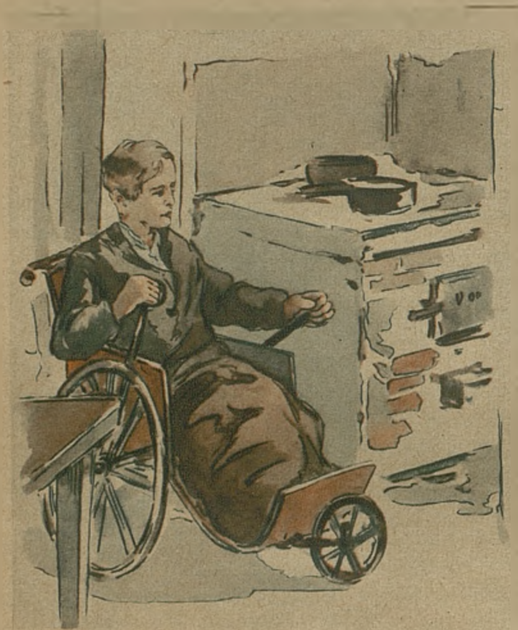
Targ w targ i Felek kupił od Józka Puzona gasidło, potem zaczął targować włosy anielskie u Antka Guzika, który srożył się i nie chciał opuścić z ceny, chociaż znali się dobrze a na noc zawsze do schroniska dla bezdomnych chłopców w YMCA przychodzili. Powinien taniej sprzedać Felkowi te włosy, ale uparł się i huknął, że ani grosza mniej nie weźmie, tylko tyle ile powiedział na początku. On ma stałe ceny!

— Udław się! — rzekł Felek, zapłacił i poszedł do Ludwika Płaszaja, który w bramie Sukiennic świeczki sprzedawał. Kolega także z Imki, od dziecka się znali a powiedział to samo, co Józek. Ma ceny stałe i koniec! Ostatecznie grosz opuścił z biedą i dostawszy pieniądze do rąk, spytał, podobnie jak Józek i jak Antek, na co Felkowi te świeczki. Brzydko mu Felek odpowiedział, więc się rozmowa urwała. Zresztą Felek musiał jeszcze inne sprawunki załatwić. Czekał jednak, aż się ściemni i dopiero, gdy baba jakaś choinki niesprzedane na wóz pakować zaczęła, przystąpił do najważniejszego targu. Najpierw skrytykował wszystkie drzewka po kolei, że krzywe, niewydarzone, małe a w końcu wybrał jedną choinkę i zaproponował pięć groszy.

— Możebyś darmo chciał! Cie! Pinć groszy! Za tyle drzewko! Tobym w ogień wolała cisnąć niż...

Felek ręce w kieszenie wsadził i spokojnym krokiem, powolutku, nie spiesząc





się ani trochę, poszedł do innej baby. Pewny był, że go ta pierwsza zawoła. Nie omylił się, bo zaraz babina spuściła z tonu.

— Chłopok, pódźże tu! Niech stracę! Niech będzie moja krzywda! Mam do domu z powrotem wozić, to już wolę za pinć groszy oddać! A na co ci to drzewko?

— Pilnuj pani swojego interesu — warknął ostro. — Nie ukradłem tych pięciu groszy ino zarobiłem!

Hejnał grał z wysoka w błękitnej mgle. Czwarta! Trzeba iść na wilię do Imki, popędził więc Felek razem z innymi w stronę Krowoderskiej. Na rogu Sławkowskiej przyłączył się do nich Franek Blondzia, który tam kamienie do zapalniczek sprzedawał. Widząc w rękach Felka drzewko, spytał, na co je kupił. Usłyszał, że na to, aby się głupi dziwił, podobne jednak pytanie postawił z kolei Staszek Wajda, który pod Grand Hotelem właśnie ostatni numer »Tempa dnia« sprzedał. Felek zęby zaciął i już ani słowa nie odpowiedział. Przecież już kwadrans na piątą! Pewnie w Imce wszystko gotowe, jak co roku! Z całego miasta, ze wszystkich ulic i placów ciągnęły andrusy, chłopcy bezdomni, gazeciarze, sprzedawcy uliczni albo tacy, którzy pod dworcem kolejowym czy na targu zazwyczaj stoją jako specjaliści od noszenia pakunków. Kupa ich ciągnęła do »cioci Imci« na wilię.

W sieni kierownik schroniska dla bezdomnych chłopców zaraz Felka spytał, na co mu to drzewko i na co te włosy anielskie, które Felkowi z kieszeni bluzki wyglądały. »Jakby się umówili wszyscy! Na co i na co!« — pomyślał Felek, ale choć chmurnym tonem przecież odpowiedział, że dla brata to niesie, dla Tadka, który się chowa u ciotki na Zwierzyńcu. Ma osiem lat lecz mu nogi odjęło i chodzić nie może, tylko leży zawsze na sienniku. Więc ta choinka to dla niego. Dla Tadka.

Kierownik chciał jeszcze o coś spytać, lecz już chłopców zawołano do wielkiej sali, gdzie ich chyba ze stu albo i więcej zasiadło przy stołach w podkowę ustawionych. Ksiądz, młody Jezuita, modlitwę odmówił i słów kilka powiedział o Chrystusie, który w Betlejem na sianie się urodził.[1]) Po księdzu mówił wesoło jakiś pan, życząc chłopcom Świąt Wesołych. Zaśpiewali jeszcze »Bóg się rodzi« i do stołów zasiedli. A były tam kluski z makiem, były śledzie, były strucle przeróżne, herbata i na deser kompot ze śliwek. Niby prawdziwy bal! Mało tego, bo jeszcze każdy chłopiec dostał »gwiazdkę«, zawiniętą w papier. Z ciekawości zerknął jeden z drugim do środka i pokazywać sobie nawzajem zaczęli, co też który dostał. Czy szalik, czy sweater, czy rękawiczki, czy insze różności.

Zaspokoiwszy ciekawość, do jedzenia się wzięli. Felek »wcinał«, co się zowie, bo od rana nic w ustach nie miał, ale nagle widzi, że Józek Puzon łyżkę odłożył i nos długi, jak gasidło, nad talerzem zwiesił. Tak samo Antek Guzik. Zdziwił się Felek i na Płaszaja spojrzał: także nie je!

— Antek, co ci się stało? Dlaczego nie jisz?

— Felek, a czemuś mi nie powiedział, że to dla brata te włosy anielskie? Przeciebym ci taniej dał albo nawet nic nie wziął. Nie mogłeś powiedzieć po ludzku tylko tak, jak do... Zbankrutowałbym czy co?

— Tss! Cicho! Słuchać!

Przerwali im inni rozmowę, bo na estradę wszedł jakiś pan, pono artysta z teatru, specjalnie zaproszony, i chłopcom wesołe rzeczy opowiadać począł. Poznali go za-

[1]) Ze względu na specjalny charakter YMCA Krakowskiej, za pozwoleniem Księcia Metropolity pracują w schronisku chłopców bezdomnych księża. Schronisko to zresztą jest poza lokalem YMCI. (Przyp. Red.)

raz wszyscy i bijąc brawo, krzyczeć zaczęli: »Wyrwicz! Wyrwicz!« Aż się zaśmiewali wszyscy z historii o bagażowym nr 13 i z innych opowiadań, które Wyrwicz jak z rękawa sypał. O mało im ręce nie popuchły, tak walili oklaski. Za brzuch się trzymał jeden z drugim ale wołali, że mało, mało! Słuchaliby każdy do rana, jednak prezes Imki powiada, że już koniec zabawy. Jeszcze jedną kolendę zaśpiewali i każdy zabrał swoją paczkę, do wyjścia się kierując. Felek już był na ulicy a tu przystępuje do niego Józek Puzon, coś mu wciska do ręki i gada, ale tak niewyraźnie, że Felek nic zrozumieć nie może

— Gadajże po polsku! O co ci idzie?

Więc Puzon powiada, że w tej paczce, którą dostał na gwiazdkę jest szalik. On zaś, Józek Puzon, jak żyje nie używał szalika, bo mu nigdy nie jest zimno. Nawet kołnierz u koszuli ma rozpięty, więc... Urwał na tym »więc«, a tymczasem podchodzi Guzik i mówi, że dostał od Imki rękawiczki, tymczasem on przez całe życie rękawiczek nie nosi. Lepiej rozetrzeć ręce, albo tak jak dorożkarze, zabijać je... Urwał znowuż na jakimś »więc« i Felek nie zrozumiał. Dopiero Płaszaj rzekł poprostu, że strucli z makiem wcale nie lubi, czyli ten kawałek, co dostał w paczce na »gwiazdkę« niech będzie dla brata Felka, dla Tadka...

Teraz wreszcie pojął Felek, o co im wszystkim szło. Zrozumiał i pociągnął nosem, bo mu się jakoś miękko w gardle i w piersiach zrobiło. Przecież z tym Józkiem pobił się nie raz i nie dwa razy. z Płaszajem nie gadał przez jakiś miesiąc, z Antkiem też sobie do oczu skakali, a tymczasem oni dla tego Tadka, co u ciotki na Zwierzyńcu...

Pociągnął jeszcze raz nosem i za nic w świecie nie chciał wziąć tych darów. Powiedzieli więc, że się obrażą śmiertelnie, że go nie chcą znać, czyli musiał ustąpić. Było zaś tych rozmaitych rzeczy tyle, że mu rąk nie starczyło. Więc zaraz powiada Franek, że ma także interes na Zwierzyńcu, a Płaszaj znowu chce się przejść po tej wilii, czyli z tego wszystkiego ruszyli razem przez coraz bardziej puste ulice, przez śnieg łagodny i ciepły, który padał z wysokości. Gdy doszli do domku przy ul. Kościuszki 82, gdzie mieszkała ciotka Felka, przystanęli wszyscy pod bramą, mówiąc, że zaczekają na Felka. Po chwili jednak Felek wybiegł na ulicę i kolegów zawołał.

— Chodźcie! Chodźcie prędzej! Pokażę wam coś takiego, że...

Nie mógł mówić ze wzruszenia wielkiego, weszli więc wszyscy do izby i zdumieni, przystanęli w progu: Tadzik nie leżał pod piecem, jak zawsze, tylko jeździł dokoła ścian na małym wózku, który poruszał się zapomocą ręcznej korby. Kupiła go nieznajoma pani ze składek. Była raz u ciotki z jakimiś komitetowymi i te panie zebrały po znajomych, po sklepach tyle pieniędzy, że starczyło na wózek dla małego Tadka. Jeździł teraz od pieca do drzwi i od drzwi znowuż do pieca. Czerwony był cały z radości wielkiej i zapowiedział, że jutro wyjedzie tym wózkiem na miasto, może aż na rynek! Sam! Bez niczyjej pomocy! Byle tylko była pogoda!

Przestał jeździć, gdy ujrzał drzewko i złożone pod nim dary. Była tego spora kupka, bo to i szalik od Józka i rękawiczki od Guzika i skarpetki ciepłe i sweater i strucle od Płaszaja i jeszcze insze różności. Zaniemówił, patrząc na drzewko, całe w świeczkach i w anielskich włosach. które błyszczały jak samo złoto...



Photo-Plat

Tatrzańska kolenda



Fot. Prof. Grodziński

Czy działo się to przed wiekami, czy przedwczoraj, nie powiem. A przynajmniej — nie teraz. Jedno pewne: tak samo Tatry turniami szturmowały niebo, tak samo w rozpadlinach czaił się mrok, tak samo po graniach i upłazach hulał wiatr. I tak samo na Kończystej połyskiwały szarotki.

Właśnie wtedy wszczął się w górach ruch niebywały. Zające, lisy, wilki, sarny i kozice, ongiś wrogi nieprzejednane, teraz w najlepszej komitywie ze sobą będąc, całymi gromadami ciągnęły ku hali



Photo-Plat

na Małej Łące, gdzie nad stromym urwiskiem znajdowała się bardzo mizerna szalasina. Rzadko się zdarzało, by ktoś z mieszkańców lasu szukał w tym szałasie schronienia przed mrozem czy śnieżną zawieruchą. Nie było zresztą czego się tam spodziewać, gdyż dach był w znacznej części niebem poszyty, a ściany — pożal się Boże! Ledwie się to kupy trzymało.

Więc dziw nad dziwy, że dziś właśnie ku temu szałasowi podąża wszelkie stworzenie, a co najdziwniejsze i wprost niewiarygodne — w zgodnej kompanii. Jak świat światem żadne oko ludzkie ani zwierzęce czegoś podobnego nie widziało.

— Cud! — szepcą turnie.

— Tajemnica — szumi Morskie Oko.

Słowem — chwila osobliwa.

Ptactwo pędziło górą nad konarami drzew. Reszta przedzierała się przez gąszcze leśne. Jak wszyscy — to wszyscy! Na Gody! Pokłon oddać Nowonarodzonemu. W szałasie On leży, na sianku, pospolitą rzeszą leśnych biedaków otoczony. On — Życiodawca łaskawy! On dobrotliwy Stwórca, który najdrobniejszej nawet istocie wkłada w serce dziwną radość istnienia i promienny odblask siebie.

Ptactwo rozniosło nowinę po całym lesie, po halach i upłazach. Zawrzały regle od gorączkowych przygotowań. Wszędzie widać pośpiech.

Przed szałasem rumor wielki. Cisną się zwierzęta ku wrotom, zazdroszcząc ptactwu, które dzięki skrzydłom ma łatwiejszy dostęp do szopy przez liczne otwory w dachu.

Nadleciał właśnie jastrząb.

— Skądże acan wracasz? — zapytał lis, dyżurujący u progu.

— Z wysoka — odparł dumnie przybyły.

— Patrzcie, patrzcie! — dziwował się lis. — Na wysokościach przebywa, a ostatni dowiaduje się o cudownej nowinie. A przecież ta Nowina także z wysoka przyszła na ziemię. Kto pod niebo tak często się wzbija, pierwszy powinien o tym wiedzieć.

W tłumie powstał szmer niezadowolenia.

— Racja! Pierwszym powinien być a nie ostatnim! Przewodnikiem mu być należało.

Z tyłu odezwał się lękliwy głos ptasi:

— Wzbijać się pod niebo potrafi, ale sprawy niebieskie mało go zajmują. Jego myśli są nie w górze, nie tam wśród swych skrzydeł, lecz razem z oczami świdrują ziemię, szukając ofiary, krwi i mordu.

Chociaż lata pod niebiosami, sprawom niebieskim jest daleki i obcy.

— Morderca! Zbój! Krwi tylko wciąż łaknie, gardząc przykazaniem Stwórcy...

— Sssssyt...

Nastała cisza. A Boska Dziecina, otworzywszy oczęta, uśmiechem powitała przybyłą gromadę. Cudownie podziałał ten uśmiech. Natychmiast zniknło poczucie krzywdy i zła, a zrodziło się inne, pod którego wpływem lis uśmiechnął się do wilka i uściskał go serdecznie, a niedźwiedź z sarną zawarli pakt dozgonnej przyjaźni. Nawet jastrząb poczuł, że w jego sercu jastrzębim zaczęło się coś przemieniać. Nie mogąc ukryć wzruszenia, a chcąc dać wyraz swemu uczuciu, wycofał się z gromady, podumał trochę, potem cichaczem odleciał w stronę sadyb ludzkich.

— Jestem z królewskiej rodziny, po królewsku muszę uczcić Dawcę życia. Niech widzą wszyscy, z czym król do króla przychodzi. Dziadowskie pokłony niech składa leśna biedota. Jastrząb musi dbać o swe imię.

Tak myślał dumny ptak, szybując wysoko, wypatrując odpowiedniej zdobyczy. Łatwo mu to przychodziło, świat tonął w blaskach nowej gwiazdy.

Za chwilę szpony jastrzębia ociekały krwią ofiary. Kogut, który pierwszy za-



czął głosić zaspanej wsi nadejście nowego dnia, który pierwszy uwierzył, że to nie złuda, ale świt prawdziwy — konał w morderczych uściskach.

Tak, ale trzeba było widzieć wzrok jastrzębia, gdy znowu zjawił się w szałasie — tym razem z podarunkiem okazałym, który złożył u stóp Dzieciny. Więc zatrwożyły się inne zwierzęta i wstyd je ogarnął niepowstrzymany. Bo rozważywszy — to z czymże przyszły do Pana? Z niczym. Co kto przyniósł oprócz jastrzębia? Nic. Chyba zajączek to swe serduszko zajęcze, o każdą godzinę życia truchlejące; chyba głupiutki lisek to beztroskie życie swoje; chyba wilk swój nienasycony głód; chyba wróble trochę świergotu; chyba... nic więcej. Strasznie mało. Tylko jeden jastrząb zdobył się na wspaniałomyślny gest. Tylko on!

Gdy jednak zwierzęta spojrzały na Bożą Dziecinę, zdumiały się: twarzyczka przedtem uśmiechnięta, była teraz smutna i pełna wyrzutu.

Cisza zaległa szałas. Cisza trwogi i zdumienia. Aż nagle w tę ciszę skądś padł głos, który doleciał aż do serc zwierzęcych.

...Zbrodnia! Ze zbrodni chciano uczynić ofiarę. Kto by tak czynił dalej, ten nie zwierz, nie moje stworzenie, ale...

Halny wiatr zatargał pułapem. Dzikie wycie przeszyło powietrze.

Jastrząb struchlał. Spodziewał się przecież czego innego. Jaki mord? Przecież co dzień... Tak, nie rozumiał jeszcze, że wtedy mordercą nie jest on, ale — głód.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Donośne pianie napełniło szopę.

Wszystko patrzy pod żłób, gdzie przed chwilą jastrząb złożył ofiarę. Ale tam pusto. Wtedy po raz drugi: — Ku-kury-kuu!

Oho! to już nie z pod żłóbka, ale z drabiny. Wszystkie oczy podnoszą się w górę. Kogut żywy!

Na Bożym obliczu znów zajaśniał promienny uśmiech. Odrazu poprawił się nastrój w szałasie. Ale najważniejsze to, że zrozumiały wreszcie wszystkie stworzenia, jakiej ofiary pragnie Nowonarodzony: tylko życia! Takiego życia, do którego każdej chwili uśmiechać się może Bóg.

Władysław Dunarowski



Z POKŁONEM

OSOBY: Łowiczanka, Krakowianka, Krakowiak, Pomorzanka, Pomorzanin, Druciarz, Góral, Góralka, Ślązaczka, Chór za sceną, Grupa mieszczan, chłopów z różnych stron Polski. Anioł.

Szopka. Pada bardzo silne światło różnokolorowe i każda z osób przychodzących z pokłonem wstępuje w ten krąg świateł a potem cofa się, grupując się malowniczo na lewo. U drzwi szopy stoi Anioł z gwiazdą nad czołem, której blask również rozświetla scenę. Za podniesieniem kurtyny, chwilę pusto, słychać tylko dalekie granie i śpiewanie. Światło z głębi szopy płynące z początku słabe, potem coraz silniejsze,

SCENA I.

(Anioł stoi na straży u drzwi szopy. Zza sceny słychać śpiew daleki.)

CHÓR I.

»A to komu Aniołkowie tak prześlicznie grają?

CHÓR II.

»A to komu pastuszkowie tak wdzięcznie śpiewają?

(Razem.)

»Oj śpiewają pastuszkowie Dziecięciu małemu. — Grają, grają Aniołkowie Panu Bogu swemu.



Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi,
Ciemna noc w jasnościach promienistych brodzi.
Aniołowie się radują, pod niebiosy wyśpiewują:
Gloria, gloria, gloria in excelsis Deo!

(*Cichutko.*)
W stajeneczce, przy mateczce,
Śpijże, śpij Dziecino...
(*Jeszcze ciszej*)
Niech ci chwilki, po chwileczce,
Słodko, miło płyną«.
(*Chwila ciszy a potem słychać skoczną melodię krakowiaka.*)
(*Wpadają, tańcząc Krakowiak i Krakowianka, tańczą a potem Krakowiak zatrzymuje się.*)

KRAKOWIAK

Krakowiaczek ci ja,
Kółka mam u pasa,
Chociaż w chacie bieda,
To Krakowiak hasa!
Hu — ha!

Radujże się, Jezu,
Raduj, razem z nami,
Przyszli my do ciebie,
Z naszemi piosnkami.
Hu — ha!
(*Razem.*)
Przynieśliśmy Tobie,
Serdeczne kochanie,
Ten taniec wesoły,
To radosne granie.
Hu — ha!
(*Tańczą i gubią się w cieniu po lewej. Wchodzi grupa chłopów w strojach z rozmaitych okolic Polski.*)
(*Chłopi przyklękają przed szopą.*)

CHŁOPI

Przyszli my tu do Dzieciątka z darami...
Przyszli my tu z pokłonami, z prośbami...
Oj nie wiela my ta mamy w kobiałach...
Bo ta teraz, świat całuśki w opałach...
Ale serca przynieśliśmy w ofierze,
A co dajem, to serdecznie i szczerze.
(*Przez prupę klęczących przeciska się Łowiczanka.*)

ŁOWICZANKA

Matuś dała jajka,
Ot, pełna kobiałka.
(*Otwiera z dumą koszyk i wybucha płaczem.*)
O rety! Dyć się pobiły,
Gdym tu gnała, co ta siły.
Jajecznicę mam w kobiale,
Chyba się od wstydu spalę...

ANIOŁ

Nie płacz, nie płacz, Łowiczanko,
Jezus nie patrzy na dary,
Jeno na te ludzkie serca,
Tylko na duszy ofiary.
Ot, ofiaruj pacierz ranny...
Ot, ofiaruj, że w niedzielę,
Westchniesz do Najświętszej Panny
I zawsze będziesz w kościele.
Że nie zgrzeszysz zdrożnym czynem,
Ani myślą, ani mową,
Że uczcisz Bożą Dziecinę,
Całego życia osnową.
(*Łowiczanka przyklęka przed drzwiami szopy i kłoni główkę ku ziemi. Grupa chłopów wstaje i usuwa się na lewo.*)

DRUCIARZ (*za sceną woła śpiewnie, przeciągle.*)

Garnki dru-to-wa...a...ć!
Garnki dru-to-wa...a...ć!
(*Wchodzi, w ręku kółko drutu, na plecach łapki na myszy, wyroby druciane.*)
Słyszałek, że Betlejemie
Miski z gliny były,
Podrutuję Dzieciąteczku,
Żeby się nie zbiły.
Fajnie drutem okręcę,
Zwiążę, jak należy
A Panienka Przenajświętsza,
Mleka w nie namierzy.
(*Kłania się Aniołowi głęboko.*)
Pozwól, święty Aniele,
Że tu sobie siędę
I miseczki Jezuskowi
Wnet drutować będę.
(*Siada z boku po prawej i drutuje miskę.*)
(*Góral z góralką wchodzą, baba ogląda się i mówi płaczliwie.*)

GÓRALKA

Płony u nas owiesek,
Nie niosą się kury,
Ziemniaki nie zrodziły,
W okół same góry.



(Wyciąga chustkę z kieszeni i rozplątuje węzełek.)

Przyniosłam w supełku.
Grosik zawiązany,
Niech ta będzie na chwałę,
Dla Pana nad Pany.

GÓRAL *(trąca ją w bok.)*

Może ta, Panie Jezu, zajrzysz w nasze strony, — Bo góry strasznie piękne, choć owiesek płony...

GÓRALKA

Damy ci najpiękniejszą izbę w naszej chacie — a o zapłacie... to ta, z moim pogadacie.

CICHE GŁOSY

Oj góralu, góralu... z niebem się targujesz... — I Dzieciąteczku miejsca w chałupie żałujesz...

GÓRAL

Toć ta już tak z nawyku, nie z złego myślenia — Toć przecie nie żałuję Dzieciątku schronienia... — Toć przecie mam w chałupie świątków szereg cały — Więc znajdzie w niej kąteczek i Jezusek mały.

(Pomorzanin i Pomorzanka. Ślązaczka.)

POMORZANIN

Mówią, że się tu Boże narodziło Dziecię?

POMORZANKA

Od jasnego Bałtyku przyszliśmy z pokłonem.

POMORZANIN

Mam w saczku ryby, może je weźmiecie...

POMORZANKA

A dopuście przed Bożym pokłonić się tronem.

ANIOŁ

Oto w tej szopie przyszedł na świat Odkupiciel — Nie w pałacu, wśród nędzy zrodził się Zbawiciel.

POMORZANKA *(klękając)*

Jakoż to na sianeczku, w stajni położony, — Pan świata w gorszej biedzie, niż rybak zrodzony.

ŚLĄZACZKA

Aż łzy mi w oczach stają, aże serce boli, — Że się Bóg roztomiły w takiej zrodził doli. — Przyniosę płótna z chaty, w pierzynki zawinę, — Zagrzeję sercem własnym Najświętszą Dziecinę.

ANIOŁ

Jak masz takie serce czułe,
Dla Bożej Dzieciny,
To nieś ludziom serce twoje,
W Boga narodziny.
Bo czym z biednym się podzielisz.
Jakbyś Bogu dała,
Jakbyś Bożą tę Dziecinę,
Własnym tchem ogrzała.

(Za sceną skrzypce i ktoś cichutko śpiewa pierwszą zwrotkę melodii »W dzień Bożego Narodzenia«, następną śpiewają wszyscy. Grupują się wkrąg szopy w pokłonie a drzwi się otwierają i widać w głębi św. Rodzinę.)

Maria Czeska-Mączyńska

W JASYRZE

Rozdział II.

U imci pana Azulewicza



Przekradali się koło stajen i stodół. Z daleka, kędy ciągnęły się pszeniczne łany, dolatywał dźwięk sierpów, ostrzonych na osełkach. Bietka i Staszko dopadli dróżki wiodącej do lasu. Staszek kręcił głową. Nijakiej nie miał ochoty na wyprawienie się ku Jazowcu. Lecz chytra Bietka złocistym go nazwała i obietnice ponowiła. Tedy uległ. Wkroczyli w las. Bietka szła boso, trzymając w rękach zachlapane ciżemki. Oschną rychło, wówczas zeskrobie się z nich błoto. Wciągnie je, gdy ku Jazowcu się przybliżą. Staszko ułamał gałąź. Zawżdy raźniej nie z gołemi rękoma iść przez las.



— Jezu!... żmija... — zawrzasła nagle Bietka. Jeszcze nie przebrzmiał głos dziewczyny, a kij spadł na łebek wijącego się stworzenia. Bietka przytuliła się do chłopaka. Spozierała w osłupieniu na żmiję, drgającą coraz wolniej. Wreszcie gad zastygnął w bezruchu.

— Ocaliłeś mi życie — szepnęła.

Staszko machnął lekceważąco ręką.

— Pójdźmy dalej.

— A może to zaskroniec... — odezwała się Bietka.

— Nie widzisz to pręgi na grzbiecie? Żmija to jest, a raczej była, bo już jej nie masz. — Po tych słowach Staszko ruszył przed siebie. — Nie strach ci bosonóż iść przez las?

— Przy tobie się nie stracham — wdzięczyła się Bietka. — Ale dorzuciła — i sama dałabym sobie rady. Gdyby mnie ukąsiła, wiem co czynić potrza. Miejsce nad ukąszeniem ścisnąć należy mocno, aby krew nie dopływała, a nożyk oczyścić w ogniu i rankę wyskrobać.

Szli dalej. Słońce przygrzewało silnie przez konary drzew. Bietka pogadywała bez wytchnienia. Staszko odbąkiwał. Uszli może z półtora mili, gdy Bietka zakrzyczała znowu:

— Retyści!... żmija!... znowu!... ugryzła... olaboga! Umrę pewnikiem!

Staszko podskoczył ku dziewczynie, która oparła się o drzewo i z przerażeniem spoglądała na swą lewą piętę. Spojrzał i począł się śmiać bez pośpiechu.

— Czegoć wesoło okrutniku... Ratuj... — krzyczała Bietka.

Staszko chwycił za piętę i wyciągnął z niej kolec tarniny.

— Taka ci to i żmija. Odważnaś. Dziw, żeś na wojnę nie poszła.

— Zamilcz — cisnęła Bietka. Pognała naprzód, płonąc wstydem. Ale niebawem zwolniła kroku. Jaki tam Staszko jest, niechże będzie przy niej.

Po dwóch godzinach Staszko oświadczył:

— Tu Jazowiec.

Bietka wciągając na nogi ciżemki, nadrabiała miną. Tutaj srogi Tatar mieszka. Wnet go ujrzy. Połknie ją, czy nie połknie... E — Staszko do tego nie dopuści. Powita go, jak ją nauczył Staszek: salem alejkum — i wszystko będzie dobrze. Stanęli przed okazałym dworkiem. Tam jakiś pachoł powiódł ich przed oblicze pańskie.

Pan Azulewicz siedział w izbie i rusznicę czyścił. Na dwugłos Bietki i Staszka: salem alejkum, odpowiedział: alejkum salem, po czym wyciągnął prawicę do Staszka. Wnetki poczęli coś gadać po tatarsku; imć pan Azulewicz, zaprosiwszy ich, aby usiedli, klasnął w dłonie, coś dziewce służebnej przykazał i założywszy ręce na piersiach, przyglądał się Bietce.

Dziewczyna nie odrywała ócz od gospodarza. Głowa podgolona, jak u szlachcica... Oczka skośne, żywo biegające... wystające kości policzkowe, nos spłaszczony,



żółta cera, postać krępa. Nie ludożerca to, choć wilkiem patrzy. Zagadał gładką polszczyzną do Bietki, za odwiedziny dziękując i dopytując się o jej rodziców. Dziewka wniosła niebawem na talerzykach rozmaite smakołyki.

— Asanna pozwól sorbetów, na wschodnią, czyli na moją modłę uczynionych — zachęcał gospodarz. Przyrządzam je sam, na pamiątkę lat dawnych.

Bietka ociągała się, jak nakazuje dobre wychowanie, lecz po chwili usta miała pełne lepkiej, kleistej słodyczy. Iście Tatarzy nie tacy straszni, jak ich malują. Imć Azulewicz od piętnastu lat w Polsce osiadł, a cóż dopiero inni, których przodkowie jeszcze za czasów księcia Witolda do kraju naszego zostali sprowadzeni.

Pan Azulewicz nawet komplementował dziewczynę, mówiąc, że włosy ma akuratnie złote, jak ta pszenica, którą u niego już zżęto. Aliści zwrócił się do Staszka i długo coś przemawiał, przymykając powieki i zacierając powoli ręce. Twarz chłopca okazywała lekkie zaniepokojenie. Tatar podparł rękami brodę i oświadczył: kismet. Poczem oprowadził gości po swym gospodarstwie, gdzie moc była uli pszczelnych, sad ogromny. Na koniec uczęstował przybyłych gęstym winem krymskim.

Zmierzch zapadał, kiedy jęli żegnać gospodarza. Imć Azulewicz rzekł po polsku:

— Noc nadciąga. Dam wam konie.

— Z serca dziękujemy, ale jeden wystarcza — odparł Staszko. Bietka chciała oponować. ale po prawdzie lepiej będzie ze Staszkiem na jednym koniu, zwłaszcza w ciemnym lesie. Jako szkoda, że Wiernusia nie zabrali ze sobą, ale go odszukać w domu nie mogli. Terazby się przydał. w razie napaści jakowej.

— A jutro waszmości konia zwrócę — zawołał Staszko, usadziwszy Bietkę i sam na rumaka wskoczywszy. Podziękowali pięknie gospodarzowi. Koń ruszył z kopyta. Imć Azulewicz spoglądał za nimi i uśmiechał się jakoś dziwacznie.

Rozdział III.

Ktoże to tak jęczy?

Bietka, rada, że na koniu przy Staszku siedzi, gawędziła:

— Ani nie zagadniesz, jak mi się widział imć Azulewicz? Powiem ci, że wcale miły człek. A skąd ty z nim w takowej konfidencji? Pan ojciec mówili, że w sprawach gospodarskich, posłał cię razu jednego do Tatara, jeszcze przed dwoma laty, i że odtąd co pewien czas do niego zaglądasz... I tak po tatarsku doskonale mówisz...

— Przypadłem mu do serca, żem chciwy był jego mowy się wyuczyć.

— A po co ci to? Na Tatary chcesz pójść?

— Rodziców moich odnaleźć muszę.

— Ty... a zabierzesz mnie ze sobą?

Staszko tak się zdumiał, że aż konia wstrzymał.

— Opętało cię? Zawadą byłabyś jeno.

— Jużci. Jużci. Powiadają: baba z wozu, koniom lżej. Tobyś może pragnął, żebym teraz z konia zeszła, a będzie mu równie lżej?

— Siedźże spokojnie, kiedy ci dobrze.

— Staszku. Miły Staszku. Jabym tak chciała kraje tatarskie zwiedzić...

— Prędzej nas Tatary odwiedzą. Wiesz, że ich oddziały grasują w okolicy. A jeszcze imć Azulewicz prawił...

— Coże prawił? Gadaj, gadaj.

— Ano, że książę Ostrogski Konstanty ku Sokalowi z wojskiem ściągnął i na bitwę czeka.

— Chciałbyś tam być?

— Ho, ho i jak jeszcze. Aleć w domu także się przydam w razie...

— W razie czego? Oh, jakiżeś ty w mowie powolny i skąpy...

— W wypadku, gdyby Tatarzy na dwór twoich rodziców napadli.

— Doszłoby do tego? Jakżebym chciała to widzieć. Kulebym nosiła...

Ciąg dalszy nastąpi)

Wszystkim Czytelnikom zasyła Młody Las
serdeczne życzenia: Wesołych Świąt!



Photo-Plat

„Wesoła Nowina" w dawnej Polsce

Gdy Adwent ma się ku końcowi. wszystko co żyje, po magnackich pałacach. dworach szlacheckich, mieszczańskich domostwach czy chatach wieśniaczych, szykuje się do »godów«. Przy kuchniach i spiżarniach krzątają się niewiasty, służba i czeladź. Na łowy ciągną mężczyźni. Im bogatszy dom, tym obfitsze jadło przysposabia się na dnie świąteczne.

Zanim zabłyśnie pierwsza gwiazda na niebiosach, w domach, po czterech kątach magnackiej komnaty, czy ubogiej chaty wieśniaczej stawia się po snopie zboża, stół pokryty słomą zaściela się białym obrusem, a pod talerze biesiadników umieszcza się kartki z dowcipami i rymowanymi życzeniami, układanymi przez żaków i bakałarzy. A kiedy cała rodzina, z służbą i czeladzią przychodzi do stołu, białym opłatkiem łamią się na wzajem. Ilość dań podczas uczty wigilijnej jest bardzo wielka, po niej poznaje się zamożność domu. I każdą potrawę należy choćby skosztować. bo »kto ilu potraw jeść nie będzie, tyle radości go w tym roku minie«. U ludu jest zwyczaj, by ilość potraw była nieparzysta. Ale przy wszystkich wigilijnych stołach muszą być koniecznie takie potrawy, jak: barszcz z grzybami, kluski pszenne z makiem na oliwie, bigos postny, kasza jaglana i gryczana, pierogi, gołąbki, a na Rusi »kutia«, która zastępuje tam nasze opłatki. Po uczcie dopiero radość budzi się wśród młodzieży. Wiejscy chłopcy chodzą »po kolendzie«. Po nasze czasy zachował się zwyczaj w Wielkopolsce, kieleckim i krakowskim, że chłopaki po wsiach chodzą z kozą, czy »turoniem«. Jakże też chętnie lud ogląda jasełkowe widowiska! O północy jednak wszyscy gromadzą się w pięknych świątyniach, czy w ubogim wiejskim kościółku i w kornej modlitwie, z kolędą na ustach radują się tą chwilą. kiedy »Bóg się rodzi« — wznosząc dziękczynną pieśń:

»Gloria in excelsis Deo!«

A. O.

ROZKAZ WODZA



Rycerze i Rycerki baczność!

Osatnie uderzenie zegara, minął rok 1938.

Wstaje nowy rok. Dzwonią radośnie młodzieńcze nasze serca, prężą się do czynu nasze ramiona. Chcemy dużo działać, pracować, zwyciężać, zdobywać. Więcej niż w roku poprzednim. Wszak więcej nas jest, więcej się po nas spodziewają nasi rodzice, nasza Ojczyzna, Kościół, Ojciec św.

Gotuje nam właśnie nowe rozkazy.

Patrzmy na Niego!

W dużym pokoju, na Watykanie pochyla się oto nad olbrzymią mapą. To kula ziemska. Silnie, wyraźnie rysują się na niej lądy i kraje, słabo, delikatnie znaczą się morza. Ojciec św. patrzy się długo, wnikliwie — Azja, Europa, Afryka, Ameryka... Japonia, Chiny, Rosja, Polska, Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania, Anglia, Stany Zjednoczone...

Oczy Papieża rozbłyskują cichą radością. Poprzez zarysy krajów przesuwają się przed nim miliony wiernych, wyrastają wieże tysiącznych świątyń, przewija się barwna i owocna praca Kościoła. Ojciec chrześcijaństwa widzi i zwarte, piękne szeregi Rycerstwa. Oto płyną ich modlitwy do niebios, ściągając na ziemię błogosławieństwo Boże. Rosną ich gromady z każdym dniem. Gdzie tylko się zorganizują, tam zaraz wystrzela ich działalność niby jasny, mieniący się promyk. Od jego ciepła i blasku zmienia się otoczenie. Zbiega się do nich szlachetna młodzież. zwracają ku nich swe spojrzenia nawet starsi. Jedni z podziwem i miłością, inni z nienawiścią.

I oto wzrok Papieża zasnuwa się zwolna mgłą smutku. W wielu krajach nie rozumieją i nie kochaja wiary św. Zamiast dopomagać Kościołowi w jego pracy nad oświecaniem i uszczęśliwianiem ludzi, utrudniają mu zadanie a nawet go prześladują. Tak dużo trzeba jeszcze zrobić, by Chrystus mógł zakrólować zawsze i wszędzie.

Ale nie ma co rozpaczać! Do pracy!

I Ojciec św. unosi głowę i jego oczy przenikają świat cały. Wpatrują się we wszystkich wiernych, spoglądają i na dzieci polskie i oczekują od nich dużo modlitw i czynów. Ojciec św. szczególnie kocha Polskę. Był w naszej Ojczyźnie, zna ją dobrze i bardzo poważa jako jeden z najwierniejszych i najdzielniejszych krajów katolickich.

Spełnicie jego życzenia, nieprawdaż?

Ojciec św. zna najlepiej wszystkie potrzeby Kościoła i będzie je wam wyjawiał w miesięcznych intencjach Krucjaty.

Podane tam zostaną wszystkie najważniejsze sprawy, o jakie trzeba się modlić i pracować. Czytajcie je pilnie. To rozkazy naszego Wodza. Może będą ujęte w krótkich słowach, ale serce Rycerza i Rycerki winno je zgłębić a gorąca miłość podsuną każdej i każdemu własne sposoby spełnienia życzeń Wodza.

Stanisław Kuźnar







SZOPKA

Przez okienka chaty, stojącej pod borem,
Basia, Jaś i Piotruś patrzą w biały świat.
Od wioski lśnią światła, jak zawsze wieczorem:
to jarzą się szyby w śnieg wtulonych chat.

Księżyc ponad lasem toczy srebrne koło,
iskrami brylantów prószy w biały śnieg.
Świat w biel się zatulił, jak w pióra aniołów
i w nockę grudniową w sen srebrzysty legł.

A bór przeogromny, co gra jak organy,
dziś zastygł w bezruchu, zciszył się i zgłuchł.
Przyparł się ku chacie, przysunął pod ściany,
Przystanął w milczeniu, niby biały duch.

Świerk ciężkie gałęzie nad oknem zawiesił,
jak łapy niedźwiedzie opuszczone w dół.
A księżyc promienie roztrząsa po lesie,
jakby srebrny pająk sieć na drzewach snuł.

Dzieci wiedzą o tym, że w śniegowym pyle
na gałązce świerka, jak w kolebce, śnią
te pod oknem przez dzień ćwierkające gile,
o gardlach czerwonych, malowanych krwią.

Jest cicho i biało w srebrną noc grudniową,
świat śni otulony w biel anielskich piór.
Na wargach zamiera w szept urwane słowo...
W ciszy skamieniały stoi biały bór.

Aż tu pod oknami kolęda zabrzmiała.
Piotruś patrzy w okno: radość lśni na licach:
Z szopką, co od świateł aż jarzy się cała,
stoją pod oknami wsiowi kolędnicy.

Zawodzą grajkowie nutę kolędową.
Śpiewa »W żłobie leży« ochocza gromada.
Gwiazda promienista świeci im nad głową.
Klarnet pieje cienko, a bas z lasem gada.

Wpuścież ich do izby! — gospodarz zawoła.
Gospodyni światło wnosi do świetlicy.
»Pochwalony Chrystus!« — wchodzą i dokoła
rozjarzonej szopki stają kolędnicy.

Szopka to ogromna o wieżach z koroną,
przystrojona suto złotem i czerwienią.
Okna w niej od świateł, jako łuny płoną;
wieżyce od złota błyszczą się i mienią.



Skrzypek ujął krzepko skrzypeczki pod brodę,
smyk puścił po strunach ogniście, siarczyście.
Klarnety i flety skoczny mu wtór wiodą;
smyk skacze okrutnie po basach basiście.

I z szopki wypada z tancerką szlachciura:
wąs w górę sumiasty, pas wokół kontusza...
Hop, dziś, dziś — hop, dziś, dziś! — tańcują mazura,
aż skaczą i nogi i serce i dusza!

Potem z krakowianką krakowiak wyskoczy:
pawiemi piórami krakuska przybrana.
A wstęgi, jak tęcza, aż śmieją się oczy:
Danaż moja, dana i biała sukmana!

To znów hula diabeł z wiedźmą-czarownicą.
Diablisko okrutne, rogata bestyja!
Stara czarownica tańcuje z maślnicą;
ogoniasty diabeł widłami wywija.

Potem żyd w jupicy, pejsaty, brodaty,
w tańcu się wymyka przed śmiercią-kostuchą.
Śmierć biała, wysoka i chuda jak patyk
żydowi kosiskiem śwista nad uchem.

I snują się nowe figurki szopkowe,
przechodzą w rozlicznej, barwistej czeredzie:
jest druciarz, któremu bieda chyli głowę,
i cygan brodaty z ogromnym niedźwiedziem.

Teraz znów kolędę grajkowie podjęli.
A w kolędzie mówią chłopiąt miłe głosy,
że anieli w bieli nad szopą stanęli,
że leży na sianie w szopie Pan niebiosów.

Jezusek maleńki w bieluchnej sukience
wznosi rączkę w górę, błogosławiąc krzyżem
i chatę, i ojców, i serca dziecięce —
Bóg, co się zrzekł nieba i do ludzi zniżył.

Błogosławi roli: niech rodzi bogato
złocistą pszenicę i srebrzyste żyta!
I ule, co w słomie śpią w zimie za chatą.
I sad: niechaj w słońcu na wiosnę zakwita!

Błogosławi Jezus miłościwą ręką
domowej gadzinie i w stajni chudobie...
Przecie przed Nim w szopie wół i osioł klękał
na świadectwo prawdzie, że Bóg leży w żłobie.

Błogosławi Jezus w cztery strony świata:
Niechaj radość w sercach człowieczych zagości —
i niech widzi w bliźnim człek swojego brata,
jak chce przykazanie prawdziwej miłości.

Józef Aleksander Gałuszka.



Jak dawniej mierzono czas?

Za kilka minut godzina 8-a — czas już iść do szkoły. Dnia 25 grudnia w niedzielę przyjdzie święto Bożego Narodzenia! Tak łatwo to spamiętać. — Wystarczy tylko spojrzeć na kalendarzyk ścienny, wyjąć zegarek z kieszeni i już wiemy wszystko doskonale.

Ale dawniej, dawniej nasi przodkowie nie byli w takim szczęśliwym położeniu. Przenieśmy się kilka wieków wstecz, a napróżnobyśmy już szukali po ścianach kalendarzy, bezskutecznie pytalibyśmy przechodzących o pokazanie nam na zegarku godziny.

Im głębiej w przeszłość byśmy wstępowali. tym dziwniejsze rzeczy by nas uderzały. Z jakim to mozołem obliczały ówczesne dzieci mające natąpić wydarzenia!

Udajmy się myślą na Wschód np. nad wielkie rzeki Eufrat, Tygrys i Nil, gdzie rozwijały się najwcześniejsze cywilizacje świata. Mieszkali tam Babilończycy, Asyryjczycy, Egipcjanie. Byli to bardzo mądrzy ludzie, dużo wynaleźli, wiele się zastanawiali. A już szczególnie pochłaniały ich uwagę tajemnicze choć nad podziw regularne ruchy słońca, księżyca i gwiazd. One to, owe obroty ciał niebieskich odmierzyły pierwszą rachubę czasu. Utworzyło się pojęcie dnia, nocy i roku. Była to już ogromna zdobycz.

Ale teraz wyłoniła się potrzeba dokładniejszej rachuby. Jak oznaczyć liczbę porządkową owych dni, nocy i lat? Wprawdzie dni otrzymały nazwę od 7 głównych ciał niebieskich: Słońca, Księżyca, Merkurego, Wenus, Jowisza, Saturna, Marsa, ale i to nie wystarczało.

Zaczęto się posługiwać sposobem liczenia lat od panowania królów, lecz trudność nie była przez to jeszcze usunięta. Być może wystarczyło to uczonym, ale co powiedzieć o prostych ludziach? Zresztą zdarzało się nieraz, że panowało równocześnie kilku władców. Jak wtedy wybrnąć z zakłopotania? A i tak każda kraina miała swych własnych panujących i swe własne daty. Egipcjanie, chcąc ustalić jakiś rok w dziejach Asyrii, musieli porównywać lata panowania swych własnych królów z latami władców babiloń-

Niebo gwiaździste — pierwszy zegar



skich; Asyryjczyk musiał to samo czynić, jeśli chciał się dowiedzieć o jakimś odległym zdarzeniu z historii Egiptu.

Biedzili się więc mozolnie najstarsi ludzie nad oznaczaniem lat. Nie umieli sobie z tym poradzić i późniejsi Grecy i Rzymianie, ba nawet później w średnich wiekach stosowano jeszcze długi czas różne sposoby obliczania zdarzeń. Liczono więc czas od założenia świata, od założenia miasta Rzymu, od panowania najwyższych urzędników greckich i rzymskich.

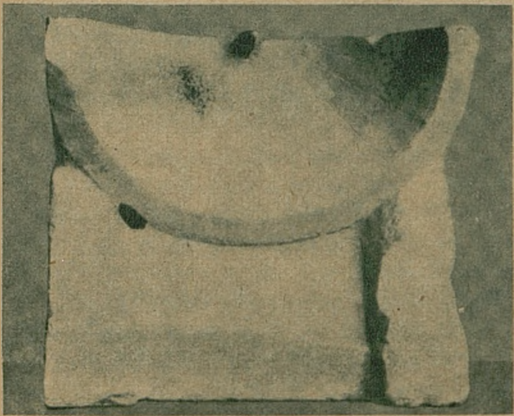
Aż wreszcie w VI w. opat rzymski Dionizy wpadł na szczęśliwy pomysł, który uprościł raz na zawsze obliczanie dat — zaproponował rachubę czasu od Narodzenia Pana Jezusa. Rok Narodzenia Zbawcy świata miał być rokiem pierwszym. Od niego liczono lata wprzód i wstecz.

Kiedy zwolna przyjęto ten sposób liczenia, uprościła się jedna z najważniejszych trudności.

Równocześnie z tym szukali ludzie ułatwienia w obliczaniu podziałów dnia. Cztery różnice w podziale doby narzucały się same, były to: wschód, południe i zachód słońca oraz noc. Ale między tymi okresami istnieje przecież duża przestrzeń czasu. Jak tutaj zastosować większą dokładność?

I znów samo słońce oraz gwiazdy dały punkt wyjścia! Pory dnia zaczęto wyznaczać według długości cienia słonecznego oraz przesuwaniu się gwiazd. Powstają coraz dokładniejsze zegary słoneczne, jakie obecnie możemy jeszcze napotkać. Nad tarczą takiego zegara wznosiła się metalowa wskazówka. Przesuwające się słońce rzucało na nią światło, a powstający stąd cień, odmierzał pory dnia.

Zegar słoneczny w dawnej Grecji



Dla większej ścisłości wprowadzono także klepsydry. Składały się one z dwóch baniek, połączonych szyjką z wąskim otworem. W jednej (górnej) mieścił się drobniutki piasek, który miarowo, w oznaczonym czasie opadał do niższej bańki. Potem klepsydrę odwracano. Była to dobra miara, ale jak sami osądzić możecie, bardzo niewygodna. Prawdziwym postępem okazało się wprowadzenie zegarów, poruszanych ciężarkami, które rozpowszechniły się po całej Europie. Pierwszy zegar wybijający 24 godziny zbudowano w Mediolanie w r. 1336. Odtąd zegary wchodzą najpierw do wszystkich miast i zamków a następnie do wszystkich domów, przybierając najrozmaitsze wyglądy i ulepszenia.

Klepsydra





Stary, pomysłowy zegar

Teraz każdy już mógł dokładnie obliczać czas, ale znikła zarazem sposobność do szukania wymówek na spóźnianie się do pracy i do szkoły...

Józef Grabnicki



PRZYBYSZE Z ZACHODU

Przez step ukraiński, zarosły burzanami sięgającymi nieraz ponad głowy, przedzierało się czterech ludzi. Odziani byli w białe, zakonne habity i zarzucone na ramiona czarne opończe. Jeden z nich szedł z przodu, pospieszając widocznie. Trzej inni podążali za nim, snadź bardzo zmęczeni, bo ocierali co chwilę pot z czoła i przystawali chętnie, by oddechu zaczerpnąć.

Oto dochodzą do jaru, na dnie którego szemrze cicho strumyk.

— Bracie Jacku! — woła jeden z ociągających się. — Zwolnijcież trochę! Tchu już złapać nie mogę a brat Florian całkiem ustaje. Bratu Benedyktowi zaś sandały się zdarły i osty mu stopy poraniły. Spocznijmyż choć krzynę...

Idący przodem przystanął i odwrócił się. — Na pociągłym jego obliczu nie znać było utrudzenia. Przeciwnie, w oczach płonął zapał do dalszych wysiłków.

Ujrzawszy wyczerpanych towarzyszy, zatroskał się szczerze.

— Dziękuję ci, bracie Godynie — rzekł — żeś mi o tym przypomniał. Tak mi pilno do tego Kijowa, żem o zmęczeniu zapomniał. Wszelako trza nam wytchnąć... Usiądźmyż tu nad wodą i pokrzepmy się, czym Bóg dał.

To powiedziawszy, przysiadł na brzegu potoka. Za jego przykładem uczynili to i towarzysze. Dobyli z sakiew chleb i drewniane kubki, którymi nabrali wody z rzeczki, by pragnienie ugasić.

Przeżegnawszy się, jęli spożywać chleb w milczeniu.

Przerwał je wreszcie brat Benedykt.

— Ile razy na płynącą wodę patrzę — rzekł — to sobie wspominam, jakośmy to przez Wisłę się pod Wyszogrodem przeprawiali, kiedyśmy to Prusaków szli nawracać. Cud to iście, żeśmy wtedy nie potonęli!

— Tak, tak — przyświadczył mu brat Florian. — Gdyby nie brat Jacek, na pewno byśmy z tej przeprawy z życiem nie wyszli.

— Lękaliśmy się nawet wstąpienia w rzekę wezbraną — dorzucił brat Godyn — a onże, przeszedłszy na drugą stronę z mężnym sercem, jeszcze po nas wrócił, by nas trwożliwych przeprowadzić.

Brat Jacek nie lubił tego wspomnienia, bo pokornym będąc, nie chciał za bohatera być uważanym. Przerwał więc mówiącemu:

— Skoro wam się widziało bezpieczniej iść przez wodę, opończy mojej się dzierżąc, to i nie dziwota, żem po was wrócił.

— To też mówię, że gdyby nie wy... zaczął znowu Florian...

— Opieka Boska była nad nami i za jej to sprawą przeszliśmy szczęśliwie — odpowiedział brat Jacek poważnie i stanowczo.

Zamilkł brat Florian, ale i on i brat Godyn i brat Benedykt pamiętali doskonale, jak to było. Tłum ludu z drugiego brzegu patrzył na to także. — Woda ich znosiła, porywała — a brat Jacek szedł pewnie, pacierze jeno odmawiając. Żywioł, jak gdyby go omijał a opończa jego, której brzegi kurczowo w dłoniach dzierżyli towarzysze, wydawała się bezpieczną ostoją.

— Jużci opieka Boska — szepnął brat Benedykt do Godyna, ale za brata Jacka przyczyną...

Gdy on z nami jest, — odszepnął brat Godyn, to mi nic nie straszne.

— Bracie Jacku! Bracie Jacku — zaczęli wołać — możemy iść dalej. Jużeśmy się pokrzepili.

Brat Jacek zerwał się natychmiast.

— Ruszajmyż tedy! — zawołał ochoczo.

Poszli raźno, pochłonięci myślami o trudach i zadaniach, jakie ich w Kijowie czekały.



Bo też i źle się tam działo. Bałwochwalstwo raz po raz głowę podnosiło i pono jeszcze gdzie niegdzie pogańskie obrzędy sprawowano a ci, co chrześcijaństwu wierni pozostali, władzę patriarchy z Byzancjum uznali, przez co w schizmę popadli.

To też, gdy czterej wędrowcy pod zachód słońca ujrzeli mury Kijowa, poklękali pobożnie, zanosząc modły do Pana nad Pany o pobłogosławienie ich.

Przybywszy do miasta, udali się na zamek książęcy. Nie chciano ich jednak dopuścić przed oblicze księcia Włodzimierza.

— Kniaź strapiony okrutnie, — mówił dowódca straży w bramie zamkniętej kratą żelazną — bo mu córka ukochana zachorzała i wzrok jej całkiem odjęło. Nikogo do niego puszczać nie wolno.

Znaleźli nocleg w gospodzie podmiejskiej i poukładali się na spoczynek.

Jeden tylko brat Jacek nie zasnął, jeno modlił się o uzdrowienie kniaziowej córki.

Niedługo potem przybiegli dworzanie księcia, szukający czterech zakonników.

— Spieszcie się na zamek — rzekli im — Kniaziówna przewidziała, jako to jeden z was wczoraj zapowiedział. Kniaź was widzieć pragnie!

Jakże się zdumiał książę Włodzimierz, gdy ubogi, skromny mnich okazał się członkiem znakomitego rycerskiego rodu Odrowążów, synowcem słynnego ze świątobliwości biskupa krakowskiego Iwona!

Na przedmieściu Kijowa stanął kościół okazały, przez uzdrowioną księżniczkę ufundowany. Brat Jacek nie ustawał w pracy. Czynił z braćmi wyprawy misyjne na północ aż do Moskwy, na wschód, za Dniepr, na południe, ku Morzu Czarnemu. Po powrocie z jednej z takich wypraw dowiedział się, że na wyspie dnieprowej znów odżyło pogaństwo. Nocami składają tam ludzie ofiary odwiecznemu dębowi, za bożyszcze uważanemu.

— Trzeba mi iść, onego ich bożka obalić — rzekł do braci.

— Jakoż dąb kilkusetletni obalicie? — pytali go. — Toć ludzkiej siły na to nie starczy!

— Jacek podniósł palec w górę.

— Ale Boskiej starczy — odrzekł z przekonaniem.

Tegoż wieczora przeprawił się łodzią na wyspę i przez las, który ją porastał, dotarł na obszerną polanę. Na jej środku stał dąb olbrzymi. Otaczał go tłum ludzi tańczących i śpiewających na cześć tego świętego drzewa.

— Stójcie! — zawołał Jacek grzmiącym głosem. — Kogóż to czcicie? Żali martwe drzewo na to zasługuje?

Pomruk oburzenia przeszedł wśród zebranych, ale Jacek nie zważał na to. Przystąpił do dębu i zamachnąwszy się potężnie, uderzył weń laską. Ogromny kawał kory oderwał się i runął na trawę, ukazując zbutwiałe wnętrze.

Krzyki i groźby rozległy się na polanie a Jacek nieustraszony mówił dalej:

— Jeżeli wasz bóg jest naprawdę Bo-



giem, to mnie ukarze. Jeżeli zaś nie, to mój Bóg jest silniejszy i jedyny prawdziwy. — Tedy Go uznajcie i uczcijcie.

To rzekłszy spokojnie opuścił wyspę.

Niewiele dni minęło a dotychczasowi czciciele ścięli sami dąb i przyszli do Jacka, prosząc go:

— Oświeć nas i ochrzcij!

* * *

Przyszła jednak chwila, że trzeba było opuścić Kijów. Stało się to w r. 1240. Nadciągnęły hordy Mongołów paląc, ścinając i uwodząc ludność w niewolę, gorszą od śmierci. Postanowił tedy Jacek z ciężkim sercem opuścić miasto z braćmi i wiernymi. Wziął ciężką, szczerozłotą monstrancję z Przenajświętszym Sakramentem, lecz zaledwie postąpił parę kroków ku drzwiom kościoła, gdy wzrok jego padł na figurę Matki Boskiej, przed którą zwykł się był modlić. Choć oczy łzy mu przesłaniały, wydało mu się, że skinęła na niego ręką. Przystanął. — Usłyszał w duszy głos Najświętszej Panny:

— Synaczka mego ratujesz, a mnie to na pastwę dziczy ostawiasz?

Drgnął. — Potem spiesznie do posągu przystąpił i jedną ręką monstancję do serca przycisnąwszy, drugą objął statuę i choć nad miarę sił ludzkich ciężką uniósł lekko z postawy.

Przez stepy niezmierzone, przez rzeki głębokie, przez jary, wertepy i bezdroża uchodził Jacek, nie czując dźwiganego ciężaru...

Anna Wajdowa



W ZIMOWY WIECZÓR

Rozprzędła się noc czarna nad wsią. Zasiała śniegiem puszystym drogi i zagony, zawisła ciszą przeogromną nad strzechami niskich, do ziemi przywartych chat. Księżyc zatonął w śniegowych chmurach, a gwiazdy pogasły wszystkie.

Posnęły też gwiazdy blade.
A noc idzie polem, sadem,
Z zimnej dłoni śniegiem sieje
Śnieżną chustą wokół wieje.

Na skraju wsi, pod lasem, stoi maleńka chata. Mniejsza od innych i bardziej pochylona. Blade światełko błyszczy w zamglonym okienku, a na podwórzu pies starowina warczy głucho, chrapliwie.

W chacie, w niskiej, bielonej izbie, przy bladym świetle naftowej lampy, każdego wieczoru gromadzi się rodzina.

Mała Hanka łalkę z gałganków czule do siebie przyciska i sennymi oczyma patrzy na szare, dziwaczne cienie, które tańczą po ścianach, lub nagle chowają się w kąty izby. Matusia szyją. Długi cień poruszającej się ręki podnosi się i opada. Hop! — hop! — hop! Zupełnie tak, jakby podskakiwał. Tyle tylko, że tupania nie słychać.

Mimo to jednak w izbie jest sennie i bardzo smutno. Nikt się nie śmieje ani nie śpiewa.

Tylko kot na piecu mruczy —
Pewnie się »pacierza« uczy.
A babunia opowiada,
Co się stało u sąsiada.

Lecz nikt jej nie słucha, bo babunia nie mówi nic ciekawego. Już skończyła i w izbie zupełnie jest cicho.

Ziewa dziaduś u komina —
Jaś o skrzypkach zapomina.
Senna nuda wokół siada,
Nikt nie śpiewa —
Nikt nie gada.

Spojrzał Jaś na Hankę, a Hanka na Jasia. — Porozumieli się oczami.

»Przestań, dziadku, pykać z fajki
My posłuchać chcemy bajki« —
Prosi Jaś i mała Hanka,
Która jest siostrzyczką Janka.
Dziadek ocknął się i sapnął —
Fajką o kolano klapnął,
Potem spojrzał w dal, przed siebie.
Jakby szukał gwiazd na niebie.

Jakoś mu do opowiadania nie sporo. Namyśla się, głową kiwa, siwe brwi marszczy i bystro na wnuków spoziera.

— Czarna nocka — mówi wreszcie. — A wiecie wy, dlaczego taka czarna?

— Nie wiemy.

— Nocka — wiecie — to jest królowa. Piękna i bogata i bardzo dobra. Skoro ano nadchodzi chwila jej królowania, rozplata





ci ona włosy czarniutkie i bardzo długie. I oto od tych włosów czarnych robi się ciemno na świecie. Po to, żeby ludzie spracowani mieli noc i odpoczynek.

Żeby im zaś nie za bardzo było ciemno i smutno na świecie, stroi ci się ona królowa na czas swojej mocy we wszystkie brylanty i różne klejnoty, jakie ino ma. A ma więcej, niż ich jest na całym świecie! I te brylanty świecą się, migają — i to są — wiecie — gwiazdy.

Siada ci ona królowa na złocistym tronie, włosy rozplata ku ziemi, głowę gwiazdami utkała. A ludzie patrzą ku niebu i radują się.

— Piękna noc — mówią.

A królowa uśmiecha się jasno i także się raduje, że ludziom dobroć zsyła. Patrzy się promienistymi oczyma na ziemię całutką, i widzi, że ludzie dobrzy są, pracowici i uczciwi. Dlatego daje im wszystko, co ma najlepsze.

Dawno, bardzo dawno temu, tak to bywało. I ludzie innych nocy nie znali ino spokojne, a gwiaździste. Bo byli dobrzy i żyli sprawiedliwie.

Ale się poczęli odmieniać i to na złe. Widzi to nocka — królowa i smutnieje. Brylanty do skrzyni złotej chować zaczyna. Gdy ano krzywdę jaką dojrzy, płacze — i ciężko wzdycha. A ludzie mówią, że to deszcz, a wichura.

Widzi dobra królowa, że brat bratu wrogiem się staje — widzi, jak dziecko — sierota nadaremnie rękę po chleb wyciąga, jak matka staruszka syna o wsparcie ze łzami prosi. Widzi to wszystko i brylant za brylantem, klejnot za klejnotem ze swoich czarnych włosów zdejmuje i do

skrzyni chowa. I smutnieje coraz bardziej, coraz ciemniejsza się staje.

— Czarna noc — powiedział cicho.

Czarna. Ani jednej gwiazdy. Widać bardzo źle dzieje się na świecie.

Zamilkł.

I tak cichutko siedzą wszyscy w niskiej, małą lampką oświetlonej izbie. Słuchają jak noc kiściami śniegu o szyby dzwoni, a wesołość wygasa w ich sercach, jak te skry ostatnie, żarzące się na kominie.

Kot na piecu mruczy, mruczy
Ciągle się pacierza uczy.
A noc gwiazdy skryła w chmurach
Chodzi wsią czarna, ponura
Z zimnej dłoni śniegiem sieje
Śnieżną chustą wokół wieje.

Irena Brablecowa



W Betlejem, miasteczku cichym, gdzie powietrze jest miłe i łagodne, mieszkali pasterze — ubodzy, skromni i cisi. Przygarnęli do swojej gromady chłopca-sierotę, którego otoczyli opieką serdeczną, braterską. Rósł najmłodszy pastuszek i co dzień stawał się lepszy.

Cieszyli się chłopcem pasterze. Powierzyli mu stadko owieczek najmniejszych. Z ochotą pasał je pastuszek. A gdy rano wypędzał swe stadko, wówczas śpiewał:

Chwalcie, dzieci, Pana,
Chwalcie Imię Pańskie!
Niech będzie Imię Pańskie pochwalone,
teraz i na wieki!

W stadku jagniąt, które otaczał opieką, było jedno, najmilsze pastuszkowi, największe, najbardziej rącze i zgrabne.

Pasąc swoje stadko, wołał baranka do siebie, i tulił je i mówił:

— Dostałem cię w podarunku od moich przyjaciół-pasterzy. Jesteś mój własny... Gdybym miał złoto, pozłociłbym twoje różki, byłbyś jeszcze piękniejszy... Nigdy się nie rozstaniemy, będziemy się razem bawili i razem biegali po łąkach betlejemskich.

Zapadła noc śliczna, gwiaździsta. Posnęli pasterze przy stadach. Spał i najmłodszy pastuszek przy swoim jagnięciu.

Niespodzianie wzeszła wielka jasność na niebo, od gwiazd i słońca promienistsza, jaśniejsza...

Zstąpili aniołowie na ziemię, piękniejsi od najpiękniejszych ludzi. Skrzydła ich mieniły się barwami, cudniej, niż obłoki na niebie. Głosy ich brzmiały piękniej, niż najcudniejsza muzyka.

Zlękli się bardzo pastuszkowie, bo nie widzieli nigdy aniołów.

Głosili aniołowie chwałę Bożą i pokój ludziom dobrej woli...

Uspokoili się pasterze i uradowali się bardzo, bowiem usłyszeli, że Chrystus się narodził i że go znajdą w stajence, złożonego w żłobie.

Wzięli tedy, co który miał najlepszego, by podarować Dzieciątku Bożemu, a najmłodszy zabrał swego baranka. Gdy go wyprowadzał z zagrody, objął mu szyję i szepnął:

— Zbawiciel się narodził... Jemu cię oddam — Bogu, który nas obu stworzył.

W stajence spoczywało Dzieciątko, a mądrość i dobroć Boża widniała z oczu dziecięcych. Z miłością spoglądali na Dzieciątko pastuszkowie. Spoglądał na Dziecię Boże i najmłodszy pastuszek. Przysunął swoje jagnię do żłóbka i cieszył się, że pierwszą sukienkę utka Matka Boża z wełny jego baranka, że radość mieć będzie Dzieciątko, gdy podrośnie i bawić się zechce z jagniątkiem.

— Rośnij, prędko, Dziecino, — szeptał — będę chodził za Tobą, jak mój baranek chodził za mną, będę Cię kochał, będę Ci zawsze wierny... Rośnij, Panie, i naucz mnie coprędzej, jak mam żyć dla Ciebie...

Zofia Poreyko

Z Nowym Rokiem



Jeżeli zaświeci
W niedzielę słoneczko,
To się przyodzieję
Czerwoną chusteczką.
Na szyję korale
Z zieloną wstążeczką,
Do ręki książeczkę
Z czyściutką chusteczką,
A do tego jeszcze
Gorset wyszywany!
Dajże też pogodę,
Mój Boże kochany!
Pójdę do kościoła,
Gdy zadzwonią dzwony,
A ze mną za rękę
Braciszek rodzony. —
Uklękniemy grzecznie
Przed wielkim ołtarzem
Paciorek zmówimy
Do Jezuska razem.
Pomodlim się szczerze,
To nas Dziecię Boże
Od złego uchroni,
A w dobrym pomoże!
Bo przy Nowym Roku
Boga prosić trzeba,
By nam błogosławił
Z wysokiego nieba.

Anna Wajdowa

Photo-Plat

Polskie kolendy i pastorałki

»Gdy na firmamencie ukazała się »Gwiazda Betleemska«, a ludzkie ucho usłyszało po raz pierwszy, co »Anioł pasterzom mówił«, dowiedział się świat, że »Bóg się rodzi« i »W żłobie leży«, pasterze »przybieżeli do Betlejem«, a »mędrcy świata monarchowie« nie ociągając się, pośpieszyli w drogę daleką, aby złożyć hołd przy »błogosławionym żłobie«, gdzie spoczywał »Jezus malusieńki, drżący calusieńki«.

W kolendach przejawia się ów czar tego okresu roku, w którym cały świat chrześcijański obchodzi pamiątkę »radosnej nowiny« — przyjścia na świat Syna Bożego.

Początków kolendy szukać należy w czasach bardzo dawnych, (a w formie jasełek — mających swe źródła w misteriach średniowiecznych) — sięgają połowy XIII wieku. Św. Bonawentura powiada, że na trzy lata przed śmiercią, św. Franciszek z Asyżu, pragnąc wzmocnić ducha religijnego, daje początek przedstawieniom religijnym, jasełkom, które znalazły poparcie papieża i wielką popularność wśród ludu.

Zwyczaj ten przedostaje się do Polski już w XIII w., przez Franciszkanów. A pierwsza polska kolenda powstaje w roku 1424, zaczynająca się od słów »Zdrów bądź, królu anielski«. Większość jednak kolend naszych powstaje w XVI wieku, są one, przeważnie, przekładami z języka czeskiego. Znajdujemy je w kancjonałach

Walentego z Brzozowa (1559) i Wierzbięty (1562). W zbiorowym wydaniu wychodzą w Krakowie w 1637 r. p. tyt.: »Symfonie anielskie«. Wpływy wzajemne polsko-czeskie przejawiają się wówczas w kolendach po dzień dzisiejszy śpiewanych: »Dnia jednego o północy«, »Przybieżeli do Betleem pasterze«, »Nowy Rok bierzy. w jasełkach leży«. Wszystkie one są tłumaczone na czeskie i należą tam do bardzo popularnych. Natomiast jedna z najpiękniejszych naszych kolend: »Lulajże, Jezuniu« — jest bardzo dawną kolendą niemiecką z Salzburga: »Schlaf, schlaf, schlaf mein liebes Kindlein«. O tej kolendzie powiada Stanisław Niewiadomski, że jest to »najmilsza, najulubieńsza melodia polskich kolend. Złączyła się z tekstem przecudnie i stała się apoteozą (uwielbieniem) macierzyństwa, uczuć rodzinnych i swojskości. Nie ma polskiego serca, które by nie przylgnęło do niej i nie odnalazło w niej symbolu miłości Ojczyzny«. Ona staje się otuchą na obczyźnie, natchnieniem dla największego mistrza tonów Chopina, kiedy w Scherzo h-mol op. 20 tony jej są zasadniczą osnową.

Rdzennie polski charakter mają kolendy, które rodzą się wśród ludu naszego, pastorałki z owymi pasterzami Kubami, Bartkami, Wojtkami. Tematem ich jest udział pasterzy w narodzinach Bożej Dzieciny i od tego pochodzi ich nazwa.

Treść ludowych kolend, jak też tony, melodie i rytm są różnorakie. Są poważne, podobne do hymnów, inne znów melodią i rytmem do polonezów (np. »W żłobie leży«, jak niektórzy twierdzą, osnuta jest na motywach poloneza ulubionego przez Władysława IV i jego dwór, to znów do kujawiaków, oberków, obertasów i innych tańców ludowych. Nie mniej i w treści odznaczają się wesołością, przejawiającą radość z przyjścia Zbawiciela.

Poza kolendami i pastorałkami ludowymi, poeci również układają je pod melodie. Żeby tutaj wymienić tylko — Grochowskiego, Miaskowskiego i Jana Kochanowskiego, którego »Na nowe lato« znane jest dotychczas. Wiek XVIII pozostawia nam znów piękną kolendę Karpińskiego »Bóg się rodzi«. Wspomnieć też warto o kolendzie powstańczej z 1863 r., czy wreszcie o kompozycjach z XIX w. i naszych czasów: Noskowskiego, Galla, Nowowiejskiego, Kazury, Niewiadomskiego, Wallek - Walewskiego, Brzezińskiego, Sołtysa i wielu innych.

Ten krótki rys dziejów polskiej kolendy i pastorałek, zakończmy słowami Niewiadomskiego: »od świąt Bożego Narodzenia do końca stycznia cały świat chrześcijański śpiewa kolendy. ...Rodzi je jedno i to samo uczucie w najgłębszych tajnikach serca ludzkiego ukryte, wspólną myślą przejęte i ku jednej jasności skierowane«.

A. Olexiński



Fot. Pestalozzi



Niedawno dostałem liścik, który mię bardzo ucieszył, gdyż przyszedł z dalekiego i tajemniczego Polesia. Oto Łucusia Łuczajówna z Hancewicz (pow. łuninieckki) życzy mi: »aby Młody Las stał się w całej Polsce jedynym, najmilszym i najlepszym pisemkiem. Aby każde dziecko miało w ręku i czytało tego najmilszego gościa!«. Która ze starszych Rycerek chce nawiązać z Łucusią korespondencję? Niech napisze do niej pod wyżej wspomnianym adresem. Nadmieniam, że Łucusia była prezeską Krucjaty, a teraz należy już do K. S. M. Ż.

Dorzotka Sobota z Chorzowa spełnia obietnicę daną nam w ostatnim liście i opisuje swe rodzinne miasto — Chorzów. Może nie wszyscy znamy to słynne miasto, posłuchajmy więc, co o nim pisze Dorotka: »Chorzów jest najpiękniejszym miastem fabrycznym na Śląsku po Katowicach. Najruchliwszą ulicą jest ulica Wolności, przy której mieszczą się domy towarowe, kina, poczta, wielkie składy itp. Tuż koło poczty stoi wielki pomnik Powstańca Śląskiego. Sławna huta M. Piłsudskiego wznosi się z lasem kominów przy ulicy Bytomskiej. W Chorzowie są dwie kopalnie, św. Jacka i św. Barbary. Chorzów szczyci się czterema pięknymi kościołami katolickimi i maleńkim kościółkiem historycznym św. Wawrzyńca, liczącym już około 500 lat«.



Genek Ołos z Rokicin pisze w imieniu ministrantów, że tak bardzo się im Młody Las podoba, że pragną: »na czas wieczny



„Zimowa Baśń" Krucjaty w Sejnach

ze mną żyć i czytać mnie«. Nie zrażajcie się, że nie otrzymaliście nagrody za rozwiązanie zagadek, może innym razem się poszczęści!

Jeszcze raz dziękuję wszystkim za pamięć i życzenia świąteczne. Ja również zasyłam wszystkim Rycerzom i Rycerkom oraz moim Czytelnikom serdeczne życzenia »Wesołych Świąt« i życzę błogosławieństwa w Nowym Roku!

Na konkurs Młodego Lasu, ogłoszony w numerze 4, napłynęło wiele ciekawych i dobrych odpowiedzi. W wyniku losowania uzyskali nagrody za najlepszą odpowiedź: Na pyt. I. Halina Żurawik, Kielce. Barbara Migdzińska. — Na pyt. II. Andrzej Bratkowski, Hanka Jędrzejowska, Kraków. — Na pyt. III. Kowalski Mieczysław, Myszyniec. Tadeusz Dziduszko, Ustrzyki Dolne.



Nasze hasło na grudzień: — Bądź ofiarny dla Dzieciątka Jezus.
Nasze hasło na styczeń: — Bądź ofiarny dla rodziców.

Krucjata w Ostrowie (p. Kańczuga) przeżywała w październiku bardzo podniosłą uroczystość w dniu święta Chrystusa Króla.

»Od rana jasne promienie słońca październikowego zdawały się wyczuwać nastrój i myśli Rycerzy i Rycerek. Przed 8 zebrały się dzieci koło kościoła a potem weszły na mszę św. Przed Komunią św. odbyło się od dawna oczekiwane przyjęcie do Krucjaty i Aspirantury, poprzedzone pięknym przemówieniem księdza Dyrektora. Dzieci chóralnie odpowiadały na pytania księdza, wszystkie zaś inne, zgromadzone około sztandaru modliły się gorąco. Po przyjęciu do Krucjaty ksiądz Proboszcz poświęcił oznaki. Nadeszła chwila najuroczystsza, chwila Komunii św. Ksiądz Proboszcz wkładał na dziecięce usta utajonego w Hostii Boga. Potem zabrzmiał śpiew: Myśmy Rycerki! Na sumie cała Krucjata wzięła znów udział. W czasie procesji wystąpiono ze sztandarem, chorągiewkami i symboliczną koroną, niesioną na poduszce. Po południu odbyła się akademia. Złożyły się na nią śpiewy, deklamacja i małe przedstawienie p. t.: »W opiece Maryi«. Uroczystość ta pozostanie długo w pamięci nie tylko Rycerzy i Rycerek, ale i tych, którzy w niej brali udział«.

Zofia Mikuła i Anna Szajer — Rycerki.

Co warto przeczytać?



Przypuszczam, że ogromnie zaciekawią was **Prawdy Boże**, str. 208 z licznymi ilustracjami. Zawierają one bardzo miłe i uszlachetniające opowiadania. — Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Kraków, Kopernika 26. Cena 4.50 zł.

Księgarnia M. Arcta przynosi piękne książki: **Paziowie Króla Zygmunta M. Domańskiej** oraz **Jeniec z północy Heleny Grotowskiej.**

Księgarnia zaś św. Wojciecha wydała piękną książkę p. t.: **Poznaj gwiazdy nad Polską dr J. Pagaczewskiego, oraz Praktyczne ulepszenia W. Świerczyńskiego.**

Wycinanki



Objaśnienia: Popatrzcie pilnie na wzory. By je wykonać, należy użyć kolorowych papierów, złożyć wg. rysunku. po czym ozdobić koralikami lub wycinkami. Przy żyrandolu trzeba obie figury połączyć nitką. Podobnie koszyczek należy uwiązać 3 nitkami w miejscu nóżek ptasich.



Przy końcu listopada odbył się w Warszawie obchód tygodnia przeciwrakowego z okazji wykrycia tego pierwiastka w roku 1898 przez słynną naszą rodaczkę Skłodowską-Curie. Obchód tegoroczny odbył się i w innych krajach. Na chorobę raka umiera w Polsce około 27 tysięcy ludzi rocznie.



W lutym na przyszły rok odbędą się w Zakopanem Narciarskie Mistrzostwa Świata. W związku z tym czynione są w Zakopanem ogromne przygotowania.

My mamy blisko do kościoła na »pasterkę«. Do biednych Eskimosów muszą przyjeżdżać misjonarze aż samolotem!



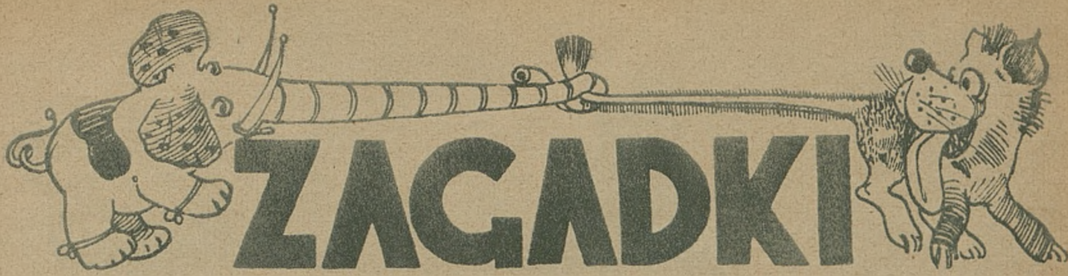


Dnia 21 listopada obchodziło gimnazjum B. Nowodworskiego w Krakowie 350-lecie swego istnienia. W związku z tą rocznicą odbyły się wielkie uroczystości jubileszowe, w których między innymi wybitnymi osobistościami wziął udział Minister W. R. i O. P. p. prof. dr Swiętosławski. Na uroczystej akademii wygłosił on przemówienie, w którym podniósł zasługi kulturalne i wychowawcze gimnazjum Nowodworskiego.





Kiedy świat katolicki cieszy się nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia, w Bolszewickiej Rosji wydane zostały odpowiednie zlecenia w sprawie zwalczania chrześcijańskich obchodów i uroczystości. Sekcje bezbożnicze organizują »święto choinki« dla dzieci, ale drzewko przystraja się w ozdoby-symbole bolszewickie. W samej Rosji zaofiarowali komuniści 5 milionów rubli na zwalczanie świąt Bożego Narodzenia.



ZAGADKA I.

Ma nogi — nie chodzi, ma rogi, nie bodzie.
Podobny jest nieco do ławy;
A w każdej go znajdziesz, choć biednej,
[gospodzie.
Sam zresztą jesz przy nim potrawy.

ZAGADKA II.

W nocy jak w dzień widzi, najcichszy
[szmer słyszy,
Kożuszka nie zdejmie ni w lecie,
Postrachem jest wszystkich i szczurów
[i myszy —
Kto jest, napewno już wiecie.

SZARADA.

Gdy do **drugiego** s ł a w dodacie,
Przed trzecim postawicie m a,
To dwa imiona otrzymacie,
Tak częste w naszej polskiej chacie,
Że każdy je z pewnością zna.
Wspak **siódma-czwarta** wspak to święta
Księga islamu, której kłam,
Jeżeli kogoś raz opęta,
Ten nigdy się nie opamięta,
Ani do Prawdy dotrze bram.
Dziś, gdy **pięć** — **szósty** rok nadchodzi,
Starym zwyczajem ślemy Ci
Raz - drugie - trzecie, Droga Młodzi.
Niech radość życie Ci osłodzi,
Niech słońce szczęścia zawsze lśni.

Cena tego numeru podwójnego wynosi 40 gr. — Następny numer Młodego Lasu ukaże się 15 stycznia 1939 r.

KRZYŻÓWKA.



Znaczenie wyrazów:
1) Spółgłoska. — 2) Rodzaj wykrzyknika. — 3) Przyprawa do potraw. — 4) Owoc. — 5) Zwierzęta pociągowe. — 6) Arkusze z ogłoszeniami. — 7) Znany ptak.

Warunki prenumeraty w 1938/9 r.

Prenumerata zbiorowa

Pojedynczy zeszyt zakupiony osobno 20 groszy.

Rocznie	3.20 zł
Półrocznie	1.80 „
Kwartalnie	1.00 „

Na każde 15 egzempl. dodaje się jeden bezpłatnie.

W sprawach prenumeraty adresować: WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY, Kraków, ul. Kopernika 26. PKO. nr 400.152. W sprawach redakcyjnych: Redakcja Młodego Lasu, Kraków, ul. Kopernika 26.

Ilustracje wykonała „Ars sacra”.

Redaktor: KS. STANISŁAW KUZNAR T. J.

Za pozwoleniem Władzy duchownej. — Drukarnia Apostolstwa Modlitwy (Księży Jezuitów).

